

WIDNOKRAĆ

TYGODNIK KULTURALNY

OKAZUJE SIĘ
Z NOWINAMI
RZESZOWSKIMI
Nr 39 (231)
Rok VI
2 X 1966 r.

Mieczysław Kaczor

wiceprzewodniczący Prez. WRN w Rzeszowie

ZASZCZYT I AWANS

Awans Rzeszowa pociągnął za sobą olbrzymie przemiany natury społecznej, ekonomicznej i kulturalnej. Istnieje już wiele elementów nadających naszemu miastu charakter wielkomiejski. Wśród nich poczesne miejsce zajmuje kultura. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić organizm miejski bez udziału w jego życiu instytucji kulturalnych i naukowych. To one w wysokim stopniu nadają miastu rangę i decydują o duchowym bogactwie społeczeństwa.

W kształtowaniu i rozwoju życia kulturalnego w Rzeszowie nie ma rolę odgrywa Państwowa Orkiestra Symfoniczna, często nazywana „Filharmonią rzeszowską”. Jest to na pewno dobry omen, zwłaszcza że istnieją realne warunki, aby POS została przekształcona w Filharmonię rzeszowską. Akt ten nie ma nic wspólnego z formalną zmianą nazwy. Zastanówmy się, jakie warunki powinny być spełnione, aby przemianowanie Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie było w pełni uzasadnione. Przede wszystkim decyduje o tym wysoki poziom artystyczny. Wieloletnia działalność POS w Rzeszowie, wiele trudnych koncertów, wreszcie niemało wyróżnień na festiwalach orkiestr symfonicznych w Ciechoćniku dają dowody dojrzałości artystycznej zespołu i dużej sprawności technicznej. Następnym warunkiem jest wszechstronna działalność. Wielu słuchaczy rzeszowskich zna orkiestrę z jej pamiętkowych koncertów, ale przecież nie na nich kończy się działalność zespołu. Orkiestra spełnia również poważną rolę ośrodka wychowawczego. Jej koncerty budzą doznania estetyczne, wyrabiają smak i wrażliwość nowego słuchacza. Wszystkie koncerty z wyjątkiem piątkowych poprzedzane są odpowiednimi prelekcjami. Zwykle ich tematyka nawiązuje do problematyki społeczno-politycznej okresu związanego z działalnością odpowiedniego kompozytora lub całej grupy, przy czym szczególnie uwypukla się twórczość postępową.

Prowadzona przez POS popularyzacja muzyki wśród szerokiego kręgu społeczeństwa zasługuje na szczególne podkreślenie. Niewiele jest w naszym województwie miejscowości, do których nie dofarby zespół orkiestry czy kameralne zespoły, tzw. estrady muzyczne. Zespół dociera również i do niektórych wsi.

Nie sposób nie wspomnieć także o lańcuchach Dniach Muzyki Kameralnej, które są jednym z poważniejszych festiwali muzyki kameralnej. Jest to działalność o wiele szersza niż przewidywalby to zwykły tok pracy orkiestry symfonicznej.

Bogata i pracowita jest działalność zespołu. Przez estradę Wojewódzkiego Domu Kultury, w którym pracuje i koncertuje orkiestra, przewijają się najznakomitsi soliści krajowi i zagraniczni. Ta niewielka estrada zupełnie nie przystosowana do produkcji muzycznej musi pomieścić pokąźny zespół orkiestrowy, a nierazko jeszcze 80-osobowy chór. Wiele wysiłków artystycznych z powodu złych warunków nie przynosi spodziewanych efektów. Dodajmy, że WDK nie ma również pomieszczeń dla solistów, a będziemy mieli pełny obraz warunków, w jakich od 11 lat pracuje nasza orkiestra symfoniczna. Nadszedł jednak czas, kiedy rozmach pracy i pozycja orkiestry nie dają się pogodzić z tą sytuacją.

Jakie jest wyjście? Część społeczeństwa już dawno wypowiedziała się w tej sprawie: budować filharmonię! Propozycję tę pochwycił b. Wojewódzki Komitet SFOS i mimo że istniała pełna dokumentacja zabrakło decydującego głosu. Dopiero niedawno powstały Wojewódzki Komitet Budowy Szkół i Internatów po akceptacji wniosku przez wojewódzkie, miejskie władze partyjne oraz administracyjne podjął się realizacji i sprawa budowy nabrała realnych kształtów. Już w najbliższych dniach rozpocznie się uzbieranie terenu, a z kolei powinna być położona ława fundamentowa, aby przed zimą mógł być wmurowany akt erekcyjny.

Z chwilą wmurowania aktu nastąpi przemianowanie naszej orkiestry symfonicznej na Filharmonię rzeszowską. Będzie to ważki dokumentalny i bez precedensu akcent ostatniego roku obchodów na terenie Rzeszowa — Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Przekształcenie POS w Filharmonię to zaszczyt i niemały awans, nie tylko dla zespołu, ale też naszego miasta i województwa.

SŁYSZY SIĘ CZĘSTO twierdzenia o nadwyżce niektórych fachowców przy równoczesnym narzekaniu na brak specjalistów w innych dziedzinach. Nieznane są jednak bliżej rozmiary tego zjawiska, kłopoty zaś z zatrudnieniem absolwentów niektórych typów szkół zawodowych traktowano z reguły jako trudności lokalne, wynikłe — jak nieraz mawiano — właśnie z winy młodzieży, która poszukuje pracy w pobliżu miejsca zamieszkania, gdy tymczasem w każdej niemal gazecie codziennej przedsiębiorstwa i instytucje oferują wolne miejsca.

Można zresztą przytoczyć sporo innych przykładów, że tak się wyraża, nieracjonalnego podejścia do tego zagadnienia. Nie przekonuje np. używany często argument, że w tym czy innym powiecie lub mieście liczba poszukujących pracy jest mniejsza od ilości wolnych miejsc. Nie chodzi w tym wypadku o zatrudnienie w ogóle, lecz zatrudnienie młodzieży w wyuczonym zawodzie. Problemów tych nie rozpatrywano kompleksowo, co prowadziło do błędnych wniosków, które w dużej mierze rzuwały na programowanie rozwoju szkolnictwa zawodowego. A waga tego zagadnienia wzrasta w miarę upowszechnienia kształcenia na poziomie średnim.

Wobec szkolnictwa wysuwa się liczne postulaty i żądania, nierazko pretensje, że szkoli za mało lub za dużo w określonej specjalności. Znajduje się ono pod przemożnym naciskiem sprzecznych często tendencji i interesów; o lokalizację szkół czy limity przyjęć toczą się formalne batalie, w których ścierają się względy gospodarcze, demograficzne, nawet ambicjonalne. W efekcie szkolnictwo zawodowe nie jest w pełni dostosowane do potrzeb obecnej i perspektywicznej zapotrzebowanie na fachowców, jak i sytuację demograficzną Rzeszowszczyzny, która nakazuje dalszy rozwój szkolnictwa. Ważnym postulatem jest także w miarę możliwości równomierne rozmieszczenie sieci szkół średnich, głównie zawodowych.

Realizacja uchwały plenum KW wymaga ściślejszej niż dotychczas współpracy organów planowania, administracji szkolnej oraz przyszłych pracodawców kształcącej się młodzieży. W pierwszym rzędzie

szkolnictwa zawodowego; w zasadzie kształci ono dobrze przygotowanych fachowców, ale ma także kształcić fachowców potrzebnych.

Sprawą więc zasadniczą poza reformą programów nauczania jest doskonalenie zasad planowania oświaty, przy czym zadanie to spoczywa nie tylko na władzach szkolnych. Szkoły zawodowe przygotowują kadry dla gospodarki

chodzi o sporządzenie bilansu siły roboczej, podstawowego dokumentu, w oparciu o który władze oświatowe będą planowały rozwój szkolnictwa. Okazuje się, że nie jest to zadaniem łatwym. Już dwukrotnie projekt bilansu przygotowany przez Wojewódzką Komisję Planowania Gospodarczego został odrzucony. Bilans siły roboczej ma być ponownie opracowany.

Zagadnienia te omawiano na naradzie roboczej zorganizowanej przez wydziały: Propagandy oraz Ekonomiczny przy współudziale Wydziału Rolnego wojewódzkiej instancji partyjnej. Kuratorium Okręgu Szkolnego dysponuje limitami przyjęć do poszczególnych typów szkół zawodowych, opracowano już wstępne założenia planu na bieżącą 5-latkę, ale jak oświadczył wicekurator, mgr Stanisław Grabowski, władze szkolne nie są pewne, czy projektowane zmiany profilu kształcenia rzeczywiście odpowiadają potrzebom przemysłu oraz innych działów gospodarki.

Sprawą zasadniczą staje się wyznaczenie proporcji między kształceniem techników a robotnikami wykwalifikowanymi. Podobno w bieżącej 5-latkę zapotrzebowanie w woj. rzeszowskim na techników będzie przekroczone o 54 proc., w skali zaś krajowej — o 25 proc. I tak np. w Rzeszowskim wystąpi trzykrotna nadwyżka geodetów z wykształceniem średnim, przeszło trzykrotna górników, prawie 2,5-krotna chemików, dwukrotna odlewników, przeszło 7-krotna technologów żywienia zbiorowego. Planisci sygnalizują nawet nadwyżkę specjalistów dla rolnictwa.

Odmienne kształtuje się sytuacja w szkoleniu robotników wykwalifikowanych. Otóż potrzeby województwa nie będą zaspokojone nawet w 50 proc., a kraju — w niepełną 85 proc. Zadaniem więc podstawowym jest kształcenie robotników wykwalifikowanych. Dość jednak trzeba, że w niektórych zawodach wystąpią spore nadwyżki. I tak np. jedyna bodajże w Rzeszowskim szkoła zawodowa kształcąca robotników dla przemysłu skórzanego, zaspokoi potrzeby w 800 proc., a w 1970 roku — co brzmi niemal humorystycznie —

(Ciąg dalszy na str. 3)

Zdzisław Kozioł

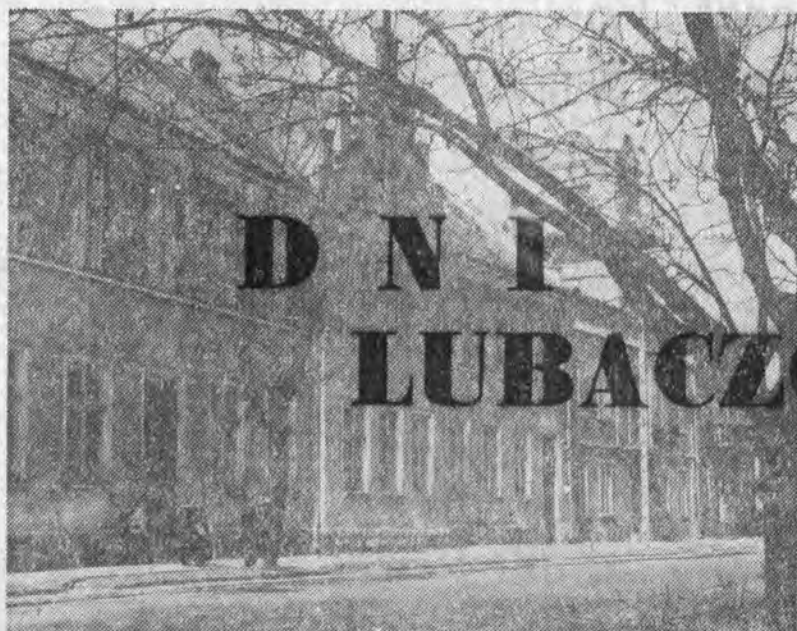
PLANOWAĆ ALE JAK?

(artykuł
dyskusyjny)

narodowej spełniają wobec poszczególnych jej działów niejako funkcję usługową. Są to oczywiście usługi o szczególnym znaczeniu, bo szkoły nie tylko uczą zawodu, ale odgrywają także doniosłą rolę w upowszechnianiu i wzbogacaniu kultury.

Problemem planowania oświaty sporo uwagi poświęciło ostatnie plenum Komitetu Wojewódzkiego Partii, które wysunęło szereg zaleceń dotyczących pełniejszego dostosowania profilu szkolnictwa do potrzeb. Uwzględniano zarówno obecne i perspektywiczne zapotrzebowanie na fachowców, jak i sytuację demograficzną Rzeszowszczyzny, która nakazuje dalszy rozwój szkolnictwa. Ważnym postulatem jest także w miarę możliwości równomierne rozmieszczenie sieci szkół średnich, głównie zawodowych.

Realizacja uchwały plenum KW wymaga ściślejszej niż dotychczas współpracy organów planowania, administracji szkolnej oraz przyszłych pracodawców kształcącej się młodzieży. W pierwszym rzędzie



Fot. Z. POSTĘPSKI

Już po raz drugi w tym roku stolica najdalej wysuniętego na północny wschód powiatu naszego województwa obchodzić będzie swoje dni od 1—8 października. Ma to szczególnie dużą wagę dla jej mieszkańców, gdyż staje się okazją do szerokiego przeglądu dorobku kulturalnego miasta i okolic, które nie miały zbyt łatwego startu do powojennego rozwoju przez szczególnie wielkie zniszczenia wojenne i szczególnie tragiczną historię pierwszych lat okupacyjnych.

Zniszczony i wyludniony powiat (nawet dziś jeden z najsłabiej zaludnionych: około 38 mieszkańców

na km kw.) z wielką prężnością jak na jego możliwości powoli wyrównuje jednak swoje braki, a jego władze kładą szczególnie nacisk na prawidłowy rozwój rolnictwa, stanowiącego bazę dla gospodarki, a także na stały wzrost uprzemysłowienia i turystyki.

Tegoroczne Dni Lubaczowa obchodzone będą szczególnie uroczysto, gdyż zbliża się to święto z zakończeniem Roku Młenińskiego, gdyż ostatnie jego dni przypadają na rozpoczęcie Kongresu Kultury Polskiej. To zobowiązuje i dlatego władze miasta przewidują szereg interesujących imprez bądź to miejscowych,

bądź pozamiejscowych, jak choćby koncerty Orkiestry Symfonicznej z Rzeszowa, spektakle Teatru im. W. Siemaszki czy występy estrady szczecińskiej.

Powstałe ostatnio towarzystwa: Miłośników Ziemi Lubaczowskiej, Koło Studentów Ziemi Lubaczowskiej oraz Oddział PTTK — kładą główny nacisk na rozpropagowanie piękna Lubaczowszczyzny, ochronę jej zabytków, zgromadzenie ich w Muzeum Regionalnym, które znajduje swego opiekuna już w ciągu najbliższego roku w zamożnym mecenasie — PTTK.

Wielką szansą Lubaczowszczyzny — turystyka zostanie w czasie tegorocznych Dni szczególnie rozpropagowana piękną i pożyteczną imprezą pod hasłem „Roztocze zaprasza”, która będzie nosić nazwę i Turystycznego Zjazdu do Lubaczowa i którą organizuje właśnie PTTK wraz z Wojewódzkim Ośrodkiem Informacji Turystycznej. Trzy trasy piesze: dwie — trzydniowe na trasach Jarosław — Lubaczów i Suściec — Lubaczów oraz dwudniowa — Horyniec — Lubaczów pomnożą dwa dowolne rajdy: motorowy i kolarski, na które notabene nawiąza wiele zgłoszeń nie tylko z naszego województwa, ale i z pobliskiej Lubelszczyzny, silnie ciągnąc turystycznie ku urokom malowniczego Roztocza.

Uroczystości w samym mieście otworzy dziś Sejmia Miejskiej Rady Narodowej oraz Powiatowy Sejmik Kulturalny, na którym zostaną omówione zagadnienia związane ze zbliżającym się Kongresem.

Zyczymy tedy owocnych obrad oraz udanych obchodów Dni Lubaczowa — imprezy ze wszechmiar zasługującej na uznanie i orzekającej się powoli w tradycję dla jego mieszkańców.

K. S.

Fot. M. KOPEĆ

LAURKA DLA „MELUZYN”

„...Jest lampa na łańcuchach,
co dotknięta skrzypi, kobieta z
parą rogów i ogonem rybim,
zowią ją meluzyną...”

K. I. GALCZYŃSKI „NIOBE”

Od Galczyńskiego więc przyjął nazwę dla siebie mały zespół entuzjastów poezji i pięknego słowa, który 5 lat temu zgromadził się w Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie. Piękna to nazwa i zobowiązująca. Gdy się przybrało za go-dio tę oryginalną, poetycką lampę, trzeba było iś i świecić. I trzeba przyznać, że przez cały czas swej działalności Teatr „Meluzyna” spełniał tę rolę. Dziewiętnaście ambitnych i artystycznych nowatorskich premier, to jak na zespół amatorski osiągnięcie nie lada. Amatorski, to nie znaczy oczywiście dyletancki czy nieudolny, to znaczy jedynie zespół niezawodowy, który jednak mógłby nauczyć niejednego z zawodowych aktorów pietyzmu dla słowa. Dziewiętnaście premier popularizowało w środowisku robotniczym twórczość poetów tej miary co Aleksander Blok, Aleksander Twardowski, Adam Mickiewicz, Władysław Broniewski i Konstanty Ildefons Galczyński.

Trzeba przyznać, że łatwizny tu nie ma — „Meluzyna” świeciła wartościami autentycznymi. Świadczy o tym 10 nagród i wyróżnień, które zespół w ciągu 5 lat otrzymał. Były to nagrody zaszczytne, m. in. za całokształt działalności artystycznej od Centralnej Komisji Koordynacyjnej do Spraw Upowszechnienia Kultury, kilka nagród na ogólnokrajowych festiwalach teatrów poezji, sporo nagród II, III i wyróżnień także w skali ogólnopolskiej. Dzięki temu zespół był znany w całej Polsce — pisały o nim „Trybuna Ludu” i „Kultura”, „Kamena” i „Przekrój”, „Teatr Ludowy” i „Kraj Rad”, występował przed kamerami telewizyjnymi w Szczecinie, Poznaniu, Krakowie i w Warszawie, na antenie rozgłośni radiowych nie tylko w kraju (Radio Moskwa). Nagrody, zaszczyty i publikacje mogły być przypadkowe, wyteżona 5-letnia praca nie była sprawą przypadku, lecz wyboru i samozaparcia. Bo przecież tych 56 ludzi, którzy przewinęli się przez „Meluzynę” studiowało w rzeszowskich uczelniach, pracowało w biurach i zakładach pracy, czyli przeznaczało „Meluzynie” czas swojego odpoczynku.

Gdy się przybrało tę nazwę, to równocześnie obierało się za patrona Konstantego Ildefonsa Galczyńskiego. Kult dla tego barwnego i radosnego poety trwa niezmiennie w zespole od samego początku. Poza dwoma premierami poświęconymi patronowi („Niobe” i „Ja się nie bo-

ję braci Rojek”) wracano wielokrotnie do jego wierszy. Od niego uczono się nie tylko powagi i liryczności, lecz także humoru, groteski i kpiny. Stąd rodowod „Rzeszowskich szopek noworocznych” cieszących się od trzech lat dużym powodzeniem w mieście. Uprawianie formy satyrycznego kabaretu przez „Meluzynę” świadczy o tym, iż teatr nie jest deklamatorsko-koturnowy, jak się niektórym teatrom tego typu zdarza, lecz potrafi i bawić, i wzruszać.

Przywódca duchowy tej grupy entuzjastów, twórca wszystkich inscenizacji i reżyser, a równocześnie założyciel „Meluzyny” Erazm Buchelt, dużo wcześniej zaraził się bakcyliem teatru i poezji. Wiele się scen i miast obezło nim się trafiło do Rzeszowa. Był w Stalowej Woli, w Gorlicach i w Tarnobrzegu, wszędzie tam tworzył zespoły teatru słowa i tworzył ciekawe spektakle. Ale na dobre zakotwiczył się w ZDK Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego — tu trafił widać na sprzyjający klimat.

Wyrazem tej sprzyjającej atmosfery i pełnego poparcia dla „Meluzyny” była uroczystość jubileuszowa. Obecny na niej naczelny dyrektor WSK w ciepłym przemówieniu wyrażał uznanie zespołowi za działalność wśród pracowników tego zakładu. Serdeczne gratulacje złożył również sekretarz Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych. Szkoda tylko, że zabrakło głosu przedstawicieli Wydziału Kultury. Prez. WRN i Prez. MRN. Czyżby nie stać ich było na dobre słowo przy takiej okazji?

Teatr „Meluzyna” oprócz licznych sukcesów nie uniknął również potknięć i pomyłek. Taką jest bowiem normalna droga twórcza każdego człowieka. Nawet i część jubileuszowego spektaklu była chyba omyłką artystyczną. Poemat Mariana Grześczaka „Buty generała” nie nadawał się do inscenizacji, a może nie do takiej inscenizacji. Spektakl był martwy — retoryka tekstu dość pusta — brak jakichkolwiek treści dramatycznych. Na szczęście barwność i humor II części (Galczyński „Ja się nie boję braci Rojek”) i dowcip oraz potoczność fragmentów „Rzeszowskiej szopki noworocznej” piora Władysława Szwał rozgrały widownię. Ale jeśli omyłki są nieuniknione przy podejmowaniu ryzyka artystycznego, nie należy się nimi przejmować. Niewątpliwie nie jedno jeszcze niepowodzenie czeka „Meluzynę”. Ale wierzymy, że drugie pięciolecie, którego serdecznie „Meluzynie” życzymy przyniesie również nie mniej sukcesów niż pierwsze.

JAN GRYGIEL

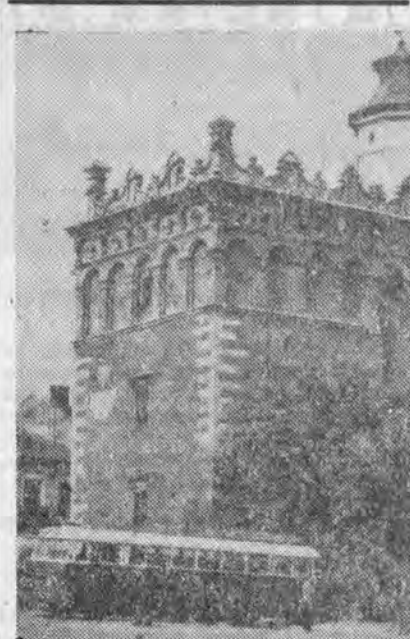
Rzeszowski kabaret „Porfirion” otrzymał nagrodę „Brazowego Kormorana” na ogólnopolskim festiwalu

We wtorek ogłoszono wyniki III Ogólnopolskiego Festiwalu Zespołów Estradowych, który odbywał się w Olsztynie od 19 września. Podczas festiwalu występowały zespoły estradowe z Warszawy, Łodzi, Krakowa, Rzeszowa, Bydgoszczy, Wrocławia i Olsztyna.

Jury konkursu przyznało nagrodę Złotego Kormorana kabaretowi „Kpiarz” (estrada łódzka) za program pt. „Kontrasty” oraz kabaretowi „Owca” z Warszawy za program pt. „Dla mnie bomba”. Nagrody Srebrnego Kormorana nie przyznano. Brazowy Kormoran

przyznano kabaretowi „Porfirion” z Rzeszowa za program „Piszę do Ciebie”. Ponadto przyznano szereg nagród indywidualnych i wyróżnień.

Jury festiwalu postanowiło, iż ogólnopolskie festiwale zespołów estradowych będą urządzane co roku.



SANDOMIERZ: Renesansowy ratusz.
Fot. B. MALMUROWICZ

Cecylia Błońska

W Sandomierzu — kultura

— Oczekiwaliśmy Was...
— Czytamy waszą prasę...
— Czytujemy o Rzeszowszczyźnie w prasie centralnej...
— E, chyba u nas nie wypadnie tak jak wtedy u was, w Rzeszowie...
— Pojedziemy do Tarnobrzega, zwiędzać wasze kopalnie siarki...

Istotnie, znają tu dobrze nasze miasto, sprawy naszego województwa i przybyli na konferencję naukową — pierwszą tego rodzaju poświęconą dziejom Sandomierza i regionu sandomierskiego — traktującą jak bliskich, dobrych sąsiadów, z którymi utrzymuje się nieprzerwane obcowanie. Trudno wobec takiej serdeczności, w której z ich strony wyraźnie dominuje sąsiedzka, bynajmniej nie wścibska, ciekawość spraw dzisiejszych, powracać do dawnych a przynajmniej odległych lat, gdy w jakże innych warunkach, zaraz po wyzwoleniu, wracając z prawdziwych w y p r a w samochodami ciężarowymi do Warszawy, podążaliśmy do naszego miasta przez Sandomierz. Tu przyjmował nas jakiś cichy, skromny hotel: zatrzymywaliśmy się na noc szczęśliwi, że zdołaliśmy sporo spraw załatwić w stolicy, że w drodze tak bardzo wówczas niebezpiecznej, nie przydarzyła się nam zła przyгода. Do świtu ładowaliśmy się na nasze ciężarówkę. To nie był jeszcze czas z w i e d z a n i a...

Już pierwszy referat konferencji zorganizowanej w ramach obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego przez trzy instytucje — Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego w Sandomierzu, Okręgowy Ośrodek Metodyczny KOS w Kielcach, Powiatowy Komitet FJN — traktujący o początkach Sandomierza w świetle badań archeologicznych, sprawia pewną niespodziankę. Prelegent dr J. Gąsowski zdaje się rezygnować ze wszelkich efektów, w jakie zazwyczaj wyposaża się wykład inauguracyjny. Mówi cicho, bardzo spokojnie, obszerna sala pocięta kolumnami nie jest radiofonizowana, żadne więc techniczne środki nie amplifikują głosu mówcy. Nie w tym zresztą niezwykłość prelekcji. Analizując wyniki dotychczasowych badań archeologicznych stwierdza, że bynajmniej jak dotąd nie wskazują one na bardziej eksponowane znaczenie grodu w jego zaraniu. Bez afektacji, bez owego zachlęstywania się niezwykłością hipotez, co zdarza się niekiedy na regionalnych konferencjach, wy-ciskając na nich nieuchronnie piętno prowincji, prelegent cytuje fakty: znaleziska dotychczas nie opracowane jeszcze naukowo do końca, wskazywałyby na skrzyżowania kultur, nagłe zanikanie całych kulturowych formacji pod naporem nowych, czego dowodem byłyby, m. in. mieszkalne lepianki wznoszone wprost na grobach, szkielety ludzkie — pozostałości po wielkiej bitwie czy wojnie — gdy napaźdniec padli od białej broni...

W ciągu godziny sala wypełniła się do ostatniego miejsca. Sporo zaproszonych gości z Warszawy, z oddziałów Polskiego Towarzystwa Historycznego, z Uniwersytetu w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie. Bardzo wielu nauczycieli i dużo młodzieży.

Oddzielone obszernym korytarzem, gwarem młodzieńczych głosów, niczym sto uli na wyroju, szumi podczas przerwy między lekcjami Technikum Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, które użyczyło swych umieszczeń obradom. Chłop-

cy z opaskami „dyżurny” na ramieniu, bardzo serio pełnią obowiązki gospodarzy; na każdy z wykładów, a będzie ich ponad dziesięć, przybywa inna grupa młodzieży. Sądząc po tym jak przyjmują słowa prelegentów, reagują dyskretnym śmiechem na to co z perspektywy Sandomierza dzisiejszego wydaje im się anachronizmem, czy w ogóle sprawą niemożliwą, sami musieli sobie prelekcje wyobrazić. Może jest w tym trochę niewinnego interesu, że to się w szkole przyda, bo dzieje Sandomierza przewijają się tutaj w materiałach bogatych, znakomicie udokumentowanych, podawanych z

Możliwe, że przez malownicze miasteczko często przeciągają jakieś młodzieńcze grupy przygrywające sobie na gitarach, ale ku chwale tego gospodarzy chce stwierdzić, że w dzień powszedni przynajmniej „wolne jest całkowicie od megafonizacji. Widocznie ufa sile swej urody i nie widzi potrzeby hałaśliwego podkreślenia jej natrętną fonią. Bez lawiny schrypiętych dźwięków lejących się z głośnika na oszołomionego przechodnia (kiedy nasze skądinąd uroczne małe miasteczko zdobęda się na odwagę i ogranicza uliczną produkcję swych radiowęzłów?), przybysz w znakomitej ciszy kontem-
plo-



SANDOMIERZ. „Ucho Igielne”, któż wytrzyma, by nie popróbować przez nie przedostać się i na fotografii uwiecznić?

Fot. T. HERMAŃCZYK

owym nieomylnym taktom i dystansem, budzącym w słuchacza zaufanie i szacunek dla prawdziwej nauki.

Jest mowa o Sandomierzu i Sandomierskiem w XII—XV wieku, kiedy to z prowincji wykształciło się całe księstwo dzielnicowe i rozległe tereny podlegały Sandomierzowi. Ileż ciekawych informacji odnośnie środowiska kulturalnego Sandomierza w XVI i na początku XVII w! I w tej materii prelegent dr H. Rutkowski relacje swoje utrzymuje w tonie raczej powściągliwym. Średniej wielkości miasto — stwierdza — zajmowało, także w życiu kulturalnym kraju, pozycję chyba średnią. Nie wydało w tym czasie żadnego profesora uniwersytetu, ani żadnego liczącego się pisarza, ale z drugiej strony w Sandomierzu działali znakomici lekarze i stąd wyszedł wielkiego talentu muzyk. Tego muzyka Mikołaja Gomółkę wspomina się na sandomierskiej konferencji tak serdecznie i ciepło, jakby to nie przed kilkoma wiekami żył tutaj, tworzył, pracował, odczuwał dotkliwie brak pieniędzy, zabiegał o większe uznanie dla swego dzieła i większe... wynagrodzenie za swój twórczy trud, ale jakby dzisiaj jeszcze spotkać go można na stromych uliczkach ślicznego miasta. Młoda część audytoryum gromkim śmiechem kwituje epizod z życia kompozytora, gdy przechodząc pewnego dnia ulicami Sandomierza napotkał grupę młodzieży idącą swobodnie z wesołym śpiewem, przy akompaniamentem muzyki; prelegent komentuje, że było to właśnie tak, jak i teraz ma miejsce,

wał może urodę sandomierskiej architektury.

Od Wisły niesie się porywisty wiatr, z sadow bogato obciążonych owocem raz po raz na pustą uliczkę głośno pada orzech, przechodzień patrzy, by nie nadepnąć na dojrzałą śliwkę. W okolicy placu im. Pułkownika Skopenki ogniskuje się cały handel, rząd taksowek czeka na pasa żerów, gastronomia nie przesadza bynajmniej z kokietowaniem tysięcy przyjezdnych. Restauracja „Ludowa”, wbrew wielkiemu napisowi „sala bezalkoholowa” nad głównym pomieszczeniem, w godzinach przedpołudniowych pełna jest oddanych zwolenników przemysłu spirytusowego. Przyjemniej i przytulniej w piwnicach kawiarni „Kasztelanek”, które wesołe kolorowe markizy tej jesieni chyba już nie przyciągną konsumentów do kilku stolików pod gołym niebem. Zorganizowane wycieczki, grupy przybywających z zagranicy, kieruje się na wyzwanie do nowego, ładnego pawilonu nad Wisłą. W żadnym kiosku ani śladu regionalnej pamiętki, poza jakimś prywatnym sklepem z takimi wyrobami, który właśnie jest zamknięty.

Niedostatek „gastronomicznej sieci”, wyraźna obojętność handlu wobec rzeki przyjezdnych — przed siedzibą PTK maszynowe autobusy wycieczkowe zajęły ulicę na całą długość — nie mają widocznie żadnego wpływu, po prostu nie liczą się: przybysz stwierdza, że ten Sandomierz, gdzie trzeba ostrożnie stapać, by nie potknąć się o gazyfikacyjne rury, bezceremonialnie rozłożone w poprzek chodników, przeszkadza zapory z desek zagradzające przejścia wokół remontowanych budynków, jest p r z e p i e k n y.

Widok, jaki rozciąga się od strony Wisły, gdzie nad przepastną taflą wody zespół starych zabytków strzela w niebo wieżami, przyciąga maszyem murów, nierównymi wnękami okiennymi, ostrą czerwienią da-

Plany Leonarda Bernsteina

Dyrygent i kierownik artystyczny Filharmonii Nowojorskiej Leonard Bernstein, znany ze swych pasji popularizatorskich, wystąpił z nową inicjatywą w tym kierunku. W okresie najbliższych 2 lat Bernstein zamierza przy współudziale swojej orkiestry poprowadzić pewnego rodzaju seminarium historii muzyki XX wieku. W programie koncertów, uzupełnianych prelekcjami i komentarzami, znajdują się m. in. utwory Saint-Saens, Sobeliusa, Mahlera, Szostakowicza i Nilssena.

(Kt-PAP)

bez megafonizacji

chów, z bliska ukazuje swe różnicowane piękno.

— Którędy do muzeum? — pytają turyści, nawykli rozpoczynać zwiedzanie od muzealnych ekspozycji.

— A tylko przejście Brama Opatowska.

Przecież przez tę wysmukłą bramę gotycką nie sposób tylko przejść. Trzeba przystanąć, podziwiać jej strzelistość, zdumieć trwałością renesansowej attyki, której strojna koronka trwa od XVI wieku.

Muzeum Ziemi Sandomierskiej mieszczące się w tzw. Kamienicy Olesnickich z drugiej połowy XVIII wieku, nie jest zbyt obszerne. Jego ekspozycja zdradza wyraźną predykcję organizatorów do fotografii. W jednej z sal cała wystawa fotografii w stylu Jakubowskiego, wypożyczona przez Muzeum Warszawskie, plan wyprawy polskiej do Mongolii. W salach poświęconych regionowi, obok tradycyjnej kolekcji przedmiotów sztuki ludowej, narzędzi, strojów również potężne fotogramy, pomysły wkomponowane w całość. Może na tafli mlecznego szkła w oknie pociętym kwadratami ram nałożona wielka fotografia sandomierskiej równiny, z bliska nie prezentuje się zbyt efektownie. Ale wystarczy odejść nieco i z odległości kilku kroków przyjrzeć się tej panoramie, by frapowała świetlistą głębią równinnego krajobrazu. Zresztą przez małe otwarte okienko którejś prawdziwie mroźne powietrze napływa do wnętrza, ten krajobraz, zielony jeszcze niby u schyłku lata, podziwiać można w „oryginalu”.

W muzeum bardzo wiele młodzieży, jakaś liczna wycieczka z Łodzi z trudem, w pantoflach, które nie chcą trzymać się na nogach, schodzi z wysokich, do błysku wyfroterowanych, schodów.

Stromymi stopniami pniemy się do wnętrza ratusza.

— Czy nie przeszkadzamy? — pytamy zatopiona w papierach referentkę w Powiatowym Wydziale Kultury, który mieści się wewnątrz renesansowego ratusza, z bogato zachowanymi elementami gotyku. Wszystkie te architektoniczne wspaniałości, strop z drzewa, które pościemniały z wiekami, na pewno nie stwarzają najlepszych warunków do pracy... resortowi kultury. Ale za to jaki splendor, ile wycieczek, ile zachwyty!

I znowu strome stopnie wiodą ku tzw. „Uchu Igielnemu”, nad którym zwisa zabytkowa latarnia. Nie jest ono aż tak wąskie, jak tamto legendarne, toteż mało kto wytrzyma, by zaniechać próby przejścia i uwiecznienia na fotografii.

O zabytkach sandomierskiej kultury ze znajomością rzeczy mówi zarówno uczeń, jak i taksówkarz, który bezbłędnie informuje, wskazując na masywną budowlę na wzgórzu, iż to jest Collegium Gostomianum z pierwszej połowy XVII wieku — najstarsze gimnazjum w Polsce. Dla niego osobliście raczej liczy się tylko stary Sandomierz: przejeżdżamy tradycyjną drogą PKS, która przystankami od dworca kolejowego, poprzez rynek do uboższego dworca PKS, przecina miasto rozległą trasą. A przecież nowy Sandomierz ma wcale obszerny zespół nowych bloków, z „imitacją” szarego, starego kamienia trafnie wkomponowanych w panoramę miasta. Ale nasz taksówkarz wybudował sobie domek jednorodzinny w tej dawnej dzielnicy, nie opodal Wisły. Gdy zatrzymujemy się przed Zamkiem, ekipy budowlane właśnie rozpoczęły montowanie rusztowań wokół wieży. Odświeżenie się wybiegające na dziedzińcu okna, zniekształcone wieloma przeróbkami. Remont prowadzi Pracownia Konserwacji Zabytków z Krakowa: suma około 1 miliona złotych do przerobu na rok biegnący z początkowemu dopiero ogromne kosztowne roboty. W bezpośrednim sąsiedztwie na małym budynku napis: „Pracownia archeologiczna Instytutu Badań Kultur Materialnych Polskiej Akademii Nauk”. Podobna młodej dziewczynie, która udziela nam dorywczo informacji, naukowego pracownika tej placówki na pewno — już widzę to oczyma wyobraźni — na tle odbudowującego się sandomierskiego zamku, ozdobi niejedną kartę tytułową ilustrowanych tygodników. Jest śliczna z tą modną młodzieńczą urodą, z kruczoczarzną fryzurą, w nienagannie eleganckim skromnym płaszczku, z różową margerytką przy kołnierzu za całą ozdobę.

Harmonijnie przeszłość spleta się tu z teraźniejszością, historia z dniem dzisiejszym, opróżniając go

chlubnie: nie dziw więc, że problemom i metodyce regionalizmu nauczania historii poświęcony jest wyczerpujący referat na sesji. Przynosi ona też wiele materiałów odnośnie do dzieł tajnego nauczania w Sandomierzu. Było ono tak powszechne, że w okresie okupacji przybywali tu, do tajemnie prowadzonych szkół, młodzi chłopcy i dziewczęta ze wsi i miasteczek w szerokim promieniu. Tajna oświata stanowi chlubną kartę w wielkiej księdze polskiej kultury. Do najnowszej historii narodu przeszły dzieje słynnego „Sandomierskiego przyczółka”: w r. 1944 zwycięska Armia Radziecka i Wojsko Polskie, przekroczywszy Wisłę, tu otworzyli słynny przyczółek, na którym niezwłocznie zorganizowana została nowa władza ludowa, jedne z pierwszych w wyzwolonym kraju placówki kulturalne. Oto jak do wienca dawnej sławy historia wplotła nowe, piękne kwiaty.

Dziś każdy dzień przynosi szanownemu ośrodkowi powiatu nowe sprawy. Nowe huty szkła przestały już być wydarzeniem, mieszkańcy Sandomierza przyzwyczaili się do swego nowego wielkiego przemysłu.

W nadrzecznej dzielnicy, gdzie w małych domkach mieszkają pracownicy rzemieślnicy, a na małej drewnianej szopie wielka barwnie wymalowana makietka, ogłasza renowację i reperację samochodów, powstaje regularny port rzeczny dla Huty Szkła. Będzie on połączony z Wisłą specjalnie przebitym kanałem i wyposażony w urządzenia do załadunku produkowanych przez Hute dużych rozmiarów tafli szkła. Z Sandomierza, drogą wodną dotrą one do Warszawy, Gdańska i wielu innych miast. Port otrzyma także urządzenia do wyładunku piasku, podstawowego surowca do produkcji szkła. Oto dosłownie „sandomierska wiadomość z ostatniej chwili z r. 1966”.

Kiedyś, w r. 2966, pod koniec naszego kolejnego Tysiąclecia, w epoce transportu o atomowym napędzie, (gdy nawet rzeki w kosmosie będą już zagospodarowane), nowa Kłio skwituje ją w formie dowiecnej anegdoty o... dawnym Sandomierzu.

CECYLIA BŁOŃSKA

Maria Cecylia Guziółek

W JEDNEJ PARZE

Od Kongresu Kultury Polskiej dzieli nas już niepełny tydzień. W piątek (7 bm.) gościnny gmach Teatru Wielkiego otworzy swe podwoje dla 2 tysięcy delegatów z kraju oraz licznych obserwatorów zza granicy.

Dziś jeszcze pilniej niż co dzień nasi delegaci przypatrują się sprawom kultury i oświaty na swym najbliższym terenie, by w czasie krajowych obrad dorzucić swe uwagi i wnioski.

Jednym z reprezentantów Rzeszowszczyzny jest — jak już wspominaliśmy — działacz kultury, dyrektor Uniwersytetu Ludowego ZMW we Włodowie — Maciej Skowroński. Przedkongresową rozmowę z nim przytoczyłam w nr 34 „Widnokragu”, w artykule pt. „Organizatorzy życia kulturalnego”. Wówczas sygnałizowałam powrót do tego spotkania na łamach naszego tygodnika, problem bowiem klubów na wsi jest nadal otwarty i jeszcze poszukuje się dla nich właściwych i jak najbardziej interesujących form pracy. Działalność klubów powinna być zawsze związana z konkretnym środowiskiem, w którym istnieje, najidealniejszy bowiem program pracy klubu w miejscowości „X” może całkowicie nie sprawdzić się we wsi „Y”. Tylko więc znajomość środowiska i realizacja zamówień społecznych w dziedzinie potrzeb kulturalnych jest gwarantem spełnienia przez klub właściwej roli, zdobycia popularności i zainteresowania.

Kluby przyjęły się na wsi i uważane są przez nią jako jedno z pożytecznych ogniw życia społeczno-kulturalnego. Naturalnie kluby wraz z bibliotekami (w większości klubów zadomowily się już księgozbiory) są tą podstawową placówką; ideałem natomiast — kompleksowe ośrodki kultury. Na organizację lub budowę ośrodka niejedna nawet duża wieś będzie musiała poczekać nie rok nie dwa, bo nigdy nie byliśmy narodem zbyt bogatym; nie „grzeszymy” też wybitną gospodarnością i ekonomia nie jest naszą najsilniejszą stroną w życiu prywatnym i społecznym. Jednak dziś coraz głośniejszą i dobitniejszą mowa się o konieczności koncentracji i koordynacji środków i sił, szczególnie w działalności kulturalnej.

Podział terytorialny, przyjęty ja-



Fot. M. KOPEĆ

ko zasada w początkowym okresie tworzenia sieci klubów-kawiarni przez spółdzielczość wiejską i PUPIK „Ruch” był słuszny. Obecnie — jak wiemy — są wsie posia-

dające oba kluby i nie uważa się takiej sytuacji za niewłaściwą, ale jedynie wówczas, gdy nie dublują one pracy, lecz się uzupełniają. Po-

(Ciąg dalszy na str. 6)

PLANOWAĆ, ALE JAK?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

gastonomia nie zamierza zatrudnić ani jednego absolwenta zasadniczych szkół gastronomicznych.

Jak już wspominałem, prognozy zawarte w bilansie siły roboczej spotkały się z krytyką. Uczestnicy narady w KW zgodnie twierdzili, że dokument ten w żadnym wypadku nie może stanowić podstawy do planowania rozwoju szkolnictwa. Nie zamierzam bronić jego autorów, ale trzeba znaleźć faktyczne przyczyny niedomogów w zakresie planowania oświaty. Dotychczas bowiem zbyt często przetrucano wzajemnie odpowiedzialność, zamiast podjąć wnikiwe, kompleksowe badania. Na plan pierwszy wysuwa się planowanie w przedsiębiorstwach. Bilans siły roboczej opracowano w oparciu o zapotrzebowanie zakładów, których dyrekcje najprawdopodobniej nie potraktowały poważnie tego zadania lub nie umieją planować potrzeb kadrowych. Nie uwzględniono np. szeregu okoliczności, jak ruch pracowników, ubytku naturalnego, przechodzenia na emeryturę itp.

Wylaniają się również pewne kwestie polityki kadrowej. Otóż w jednym z przedsiębiorstw zorganizowano szkołę przyzakładową; wykształciła ona kilkudziesięciu robotników akurat wówczas, gdy zjednoczenie poleciło zmniejszyć zatrudnienie. Zwolnienia otrzymali w pierwszej kolejności absolwenci szkoły. Po jakimś czasie zatrudnienie ponownie wzrosło, lecz wykształceni przez zakład fachowcy nie wrócili; znaleźli inną pracę nie mającą nic wspólnego ze zdobytym uprzednio zawodem, a przedsiębiorstwo musiało przyjąć robotników niewykwalifikowanych. Podobnych przykładów jest więcej.

Zanim jednak o pewnych sprawach szczegółowych, powróćmy do zmłankowanej dysproporcji w kształceniu kadr. Aczkolwiek podważono niejedną z prognoz zawar-

ta w bilansie siły roboczej, to jednak faktem bezspornym jest niepełne przystosowanie szkolnictwa do potrzeb. Nie ma w zasadzie wątpliwości co do wydatnego zwiększenia liczby miejsc w zasadniczych szkołach zawodowych. Wątpliwości dotyczą kształcenia na poziomie średnim. Wstępna dyskusja — w której uczestnicy brali pod uwagę zarówno potrzeby reprezentowanych przez siebie przedsiębiorstw i branż, jak i sytuację demograficzną województwa, co szczególnie mocno podkreślali przedstawiciele wojewódzkiej instancji partyjnej tow. tow. Eugeniusz Kościelny i Marian Żurek — wykazała jednak konieczność utrzymania założonej planem liczby miejsc w średnich szkołach zawodowych przy równoczesnej zmianie wielu kierunków kształcenia. Pilną koniecznością jest kształcenie kadr dla przemysłu chemicznego, szklarskiego, rolnictwa. W dalszym ciągu poszukiwani są absolwenci techników mechanicznych i elektrycznych.

Kuratorium zamierza kształcić techników w nowych specjalnościach, jak miernictwo elektryczne, aparatura kontrolno - pomiarowa, budowa silników spalinowych, maszyny i urządzenia rolnicze, ekonomika i organizacja transportu samochodowego i in. Ograniczy natomiast nabór na kierunku ogólnoeconomiczne, gospodarcze i odcieżowe.

Czy te zmiany odpowiadają potrzebom? Odpowiedź przyniesie chyba po raz trzeci opracowywany bilans siły roboczej. Uwzględnić jednak także trzeba sytuację demograficzną województwa; Rzeszowszczyzna jest w dalszym ciągu „eksporterem” siły roboczej. Absolwenci szkół średnich podejmują pracę w innych rejonach kraju, głównie na Śląsku i Ziemiach Zachodnich. Zachodzi więc potrzeba ściślejszej współpracy między zainteresowanymi województwami. Ciekawy wniosek zgłosił kierownik

Wydziału Zatrudnienia Prez. WRN mgr Władysław Paczocha, który proponuje podjęcie badań nad ruchem absolwentów szkół zawodowych, by zorientować się, jak ich odsetek podejmuje pracę poza województwem.

Wspominałem o presji wywieranej na władze oświatowe. Zazwyczaj sytuacja demograficzna zmusza niekiedy władze powiatowe do występowania z wnioskami w sprawie tworzenia nowych szkół, a żądają przeważnie średnich, bo one są szczególnie atrakcyjne. Często władze powiatowe zdradzają zdumiewającą nieznajomość faktycznych potrzeb; stąd beztrudnie nie raz propozycje dotyczące organizacji nowych szkół lub zmiany profilu w już istniejących. Z braku miejsca ograniczyć się do kilku przykładów. Prezydium jednej z powiatowych rad narodowych twierdziło, że występuje nadwyżka chemików, gdy tymczasem przedsiębiorstwa z tego powiatu potrzebują absolwentów techników chemicznych. Inne zaś prezydium domaga się utworzenia liceum ekonomicznego, chociaż istniejące w sąsiednich miastach szkoły tego typu w pełni zaspokajają potrzeby. W Rzeszowie zaś entuzjastycznie powitano wprowadzenie do szkół zawodowych kierunku radiowo-telewizyjnego, a obecnie radzi się nad jego likwidacją, gdyż absolwenci nie znajdują pracy. Wydaje się to co najmniej dziwne, zważywszy kłopoty związane z naprawą odbiorników, nie mówiąc już o jakości usług. Gdyby do szkół tych przyjmowano młodzież ze wszystkich powiatów, absolwenci na pewno znaleźliby pracę.

Sytuację komplikuje nieznajomość specyfiki szkolnictwa. Uwaga ta dotyczy głównie przedsiębiorstw. Często żądają one nie specjalistów, lecz pracowników jedynie przyuczonych do zawodu, dysponujących tylko sprawnościami manualnymi w kilku naraz zawodach.

Niektóre przedsiębiorstwa chcą jak gdyby rzucić z siebie obowiązki stałego dokształcania pracowników w toku pracy. Nie uogólniam, w wielu bowiem zakładach w sposób racjonalny rozwiązano te problemy; wewnątrzzakładowe szkolenie kontynuuje i uzupełnia system szkolny, a analizy ekonomiczne wykazały, że finansowanie dokształcania kadr jest wysoce opłacalne. M. in. chodzi o tworzenie nowych szkół przyzakładowych i międzyzakładowych; możliwości w tym zakresie nie wykorzystano jeszcze w pełni.

Jest to sprawa o tyle ważna, gdyż dotychczas zasadnicze szkoły zawodowe nawet w połowie nie zaspokajają zapotrzebowania na robotników wykwalifikowanych. Młodzież zaś nie przyjęta do szkół z braku miejsc, podejmuje naukę zawodu na różnorodnych kursach, za które organizatorzy pobierają wysokie opłaty. Do problemu tego przy każdej okazji wracam z maniakalnym uporem, ale przecież ta młodzież — jak to się zwykło mówić — jest podwójnie krzywdzona: nie przyjęta do szkoły, a za przyuczenie do zawodu musi płacić.

Wylaniają się sporo innych kwestii, m. in. ważnym zagadnieniem jest kształcenie dziewcząt oraz absolwentów liceów ogólnokształcących w pomaturalnych szkołach zawodowych. Należy także rozważyć problem szkół wieczorowych i zawodowych czy ogólnokształcących? Temat też wart publicznego przedyskutowania.

Zasygnalizowane problemy należy — tak przynajmniej sądzę — rozpatrywać nie tylko w aspekcie potrzeb kadrowych, mierzonych liczbą poszukiwanych pracowników. Chodzi także o właściwą politykę kadrową, stworzenie warunków do maksymalnego wykorzystania sił twórczych, tkwiących w młodzieży kończącej szkoły.

ZDZISŁAW KOZIÓŁ

Krystyna Świerczewska

Ukradłam ten tytuł. Ukradłam czasom, gdy ledwie rozpoczęła wędrówkę po literaturze (choć może w odniesieniu do tego okresu mego czytelnictwa, stwierdzenie jest za duże i lepiej będzie powiedzieć — wędrówkę po słowie pisanym) i — czytywałam się w każdej książce, co wpadła mi w ręce. Wtedy właśnie, w jakieś październikowe popołudnie, kiedy niebo zalewało się czerwienią, a zimny wiatr wiewał mił współnego z mrozem niż jesienią, powiększając ów czas grozy i nieudzielnej wojny, która spętała świat wokół naszego domu, odkryłam czytanki przedwojenne zebrane w pokaznym tomiku „Okno na świat”, a wśród nich jedną, tak właśnie zatytułowaną — tę o młodym Nansenie. Na obrazku, jak się w tym wieku zwykło mówić, był wawóz skalny zalany wodą i jedno samotne drzewo, wyrastające z pochyłej ściany granitowej. Smutek, cisza, ta sama smutność jesieni co za oknem, ten sam nastrój samotności zbyt trudnej dla człowieka, tyle, że tam, w książce stworzonej prawami przyrody; tu, wtedy w rzeczywistości — przez innych ludzi.

Nieważne były przygody młodego Fritjofa, ważny był tytuł: nad dalekim cichym fiordem, tak bardzo adekwatny w egzotyczno-lirycznym brzmieniu do ciężkiej atmosfery dnia powszedniego małaolatki, skazanej na wojnę. Toteż potem ilekroć widziałam takie krwawe jesienne zachody z zimnym wichrem, tylekroć tytuł czytanki był znakiem — sygnałem jakiegoś smutnego wzruszenia, by w końcu przejść w obsesję skojrzaenia wyimaginowanego świata dziecięcych egzaltacji z rzeczywistością.

To był nastrój — wstęp do wycieczki po fiordach, który czasem powracał, albo też często rozwiewał mętne i ponure, postrzępione skałach, ciągnących się wzdłuż 1700 kilometrów wybrzeża norweskiego.

Rozwiewał się wtedy, kiedy po tężny „Batory” wcisnął się między zielone, stronne brzegi fiordu Geiranger, czy ludnego, gwarne Trondheim; powracał, kiedy płynął po szerokim, najdłuższym Fiordzie Sogne, wrzynającym się w głąb łądu na długość 180 km. Rozwiewał — kiedy stoki Geiranger Fiordu złośliwie trollami zaprzestawały złośliwej działalności, kierując moc czarodziejską na ewokowanie piękna; powracał, kiedy wiatry, szare, nagie skały zanurzone w mgłach i śpiącym deszczu oraz piski mew, ciągnących za statkiem przywozili na pamięć wyprawy wikingów — odwieczną walkę o byt, co stwarza ludzi — symbole siły połączonej z brutalnością.

Wszystko to jednak wymieszane w tygłu lat 60-tych naszego stulecia, wygląda nieco inaczej; może i bardziej prozaicznie, choć na pewno tereny nad fiordami nie należą do najładniejszych dla człowieka, w dużej mierze nie tylko przeciwieństwo kształtując historię jego dziejów i obyczajów, ale przede wszystkim narzucając mu określony styl życia. I choć to nie są już fiordy dzikie, nieobłaskawione, takie, o jakich z wielką lubością pisał Sygryda Undset, to jednak pozostało w nich wiele z atmosfery pierwotnej walki człowieka z przyrodą i do dziś utrudniają Norwegii sytuację gospodarczą, przysparzając krajowi, poza legendą i turystyką oczywiście, kolosalne obszary nieużytków rolnych.

Wąziutki Geiranger może najbardziej przypomina kraję bajkowej piękności i jest w nim coś z pejzaży naddunajcowych: te same niewysokie skały tonące w zieleni, powyginane w najdziwniejsze kształty, załomy, niespodziane skrety... W licznych rozgałęzieniach fiordu malownicze siklawy, w których woda sypła w szczytów, jak drgający, wielobarwny pył, sławne, o pięknie wręcz niemożliwym do opisanía Wodospady Siedmiu Sióstr — czyli siedmiu połyskliwych nitek, rozpryskujących się w wodzie fiordu, wodzie o barwie opali, ametystów, turkusów, na której drża, tańczą, mieszają się z sobą ciągle zmienne w kształcie i barwach ogromne plamy światła, odbijających słońce i dających złudzenie przesiwitu głębokiego dna fiordu.

Wokół cisza, piękno, pustka, tylko na bardziej dostępnych halach osady ludzkie, nie nazbyt liczne; czasem dwa, trzy domostwa, czasem samotna chatka jak z bajki o krasnalach — wszystko zaś połączone trakcjami przewodów elektrycznych i świadczące o wielkim bogactwie białego węgla, jakie posiada Norwegia — pierwszy w świecie producent energii elektrycznej.

Ludzi nie widać. Czasem tylko można dostrzec wśród skarłowaciałej zieleni górskiej nową wstążkę

szosy, która przecina skałę lub opasuje ją serpentyną, świadcząc o życiu pewno bujniejszym gdzieś tam w jego głębi; czasem i ta wstążka komunikacyjna dramatycznie zawieszona nad fiordem urywa się wraz z „końcem” skały i niedokończona na skutek naturalnej przeskody, jest widomym świadectwem uporu człowieka, który ją aż po to miejsce doprowadził...

Jednodniowi turyści

NAD DALEKIM CICHYM FIORDEM

Wyłożony słońcem Geiranger kończy niewielkie miasteczko Merok, rozciągnięte szeroko jak barwna widokówka. Tu już jest cywilizacja, wesołość, letniskowy urok wraz z całą nieodłączną reklamą, triumfującą szpeczącą darą wysokiej poloniny wyrzniętymi w trawie literami nazwy miasteczka.

Jakże inaczej natomiast przyjmują nas najdłuższy fiord Norwegii —

tego kraju o 3 milionach i 800 tysiącach ludności...

W Bergen naturalnie pada i jak twierdzą wtajemniczeni nikt nigdy w innej szacie meteorologicznej tego miasta nie oglądał. Nie przeszkadza to i tak podziwiać dzielnic ogrodów, z rzadka pociętych pionami drapaczy oraz owego naturalnego pędu ku morzu; bo miasto nie ucieka w głąb łądu, ale z uporem rozszerza swoje terytoria i jak długi wąż opasuje półkolistą brzegi morską. Dlatego, chociaż daleko jeszcze do portu, daje to dziwne złudzenie, że jesteśmy w jego centrum, kiedy z baru na rufie statku widać go w każdym oknie trzech stron

dwa dzielni poddani i pochowali je nocą na lewym brzegu rzeczki Nid (tej samej, co dała początek nazwie miasta) i o tym wreszcie, jak po ekshumowaniu zwłok w wiele lat później czas je oszczędził i zebrał przy tej ceremonii obnażył nieknięte, piękne oblicze króla, odtąd zwanego świętym. Początkiem kultu św. Olafa i upamiętnienia jego męstwa stała się właśnie budowa katedry, wzniesionej podówczas jako mała kapliczka...

Wydaje mi się, że nie można nie opowiedzieć tej legendy, gdy się powraca z kraju legend i sag, tak bardzo charakterystycznej dla mental-

Katedrę widać z daleka. Jej ogrom przytłacza miasto i świadczy o przemianach stylów architektonicznych i o pietyzmie budowniczych wszystkich epok, z dzisiejszą włącznie, bo jest ona w stałej rekonstrukcji.

Cisza gotyckich naw, które zda się nie kończą, surowe, nagie ściany rozświetlone oknami witraży, kaplice, tajemne zakamarki, u góry kolumnada niemalże renesansowa, także chimery i maskarony — świątynia ta w niczym nie przypomina znanych mi; oszołami bogactwem dziejów, świetnością zabytkową, surowym normandzkim kolorytem, jaki tu przeważa. I zaiste śmiesznie

świata; ba, nawet żałuje się, że czwartą stronę statku stanowią przejścia do dalszych pomieszczeń...

Najdalszy cichy fiord, do którego docieramy i który notabene wcale nie zostawia w nas wrażenia ciszy — to Trondheim fiord z pięknym miastem w głębi, mającym dla każdego Norwega mniej więcej to samo znaczenie, co dla Polaka Kraków z Wawelem. Zresztą kto czytał „Krystynę, córkę Lawransa” wie

ności mieszkańców średniowiecznej Norwegii, która przeżywała przeciwieństwiane wzloty i upadki, walczyła przez wieki o niepodległość, inspirowała tragicznymi dziejami najgłośniejszych pisarzy; tej legendy, która czyni z katedry, dziś ewangelickiej, nie tyle ostoję boskości, ile symbol narodowej odwagi, przynosi kultury norweskiej, narodowej walki.

Tym piękniej zresztą koresponduje historia z dniem dzisiejszym, że to właśnie Trondheim w ostatniej wojnie najdłużej opierało się Niemcom i znaczyło w opinii Norwegów miasto-symbol patriotyzmu, bohaterstwa i odwagi...

Dlatego wybieram się do katedry tuż po wędrówce przez 80-tysięczne miasto, słynne z rybnego targu, malowniczej przystani na rzece, osiemnastowiecznych drewnianych domków i drewnianego nawet pałacu królewskiego z XIII wieku; miasto z legendy, które znakomicie pogodziło ją z nowoczesnością — schludne, czyste, ludne.

Przechodzę uliczkami, na których gromady dryblasów w stylizowanych na ludowo swetrach obzierają się bananami, beczynnie podpierając stragany jarzynowego targu, tonące w obfitości warzyw i... uciekam tam, gdzie moja imienniczka z narodowej sagi Sygrydy Undset wędrowała przed siedmioma wiekami.

brzmiał, nawet budził współczucie, żalossne wyznanie polskiej mniszki, którą tu spotykam (gdzież zresztą nie ma Polaków?), kiedy czyni mi zwierzenia zniekształconą polszczyzną: „Pani pomyśli, że to kiedyś było nasze — chrześcijańskie, a dziś kontentujemy się zaledwie kościółkiem św. Olafa”.

Biedna mniszeczka przyjechała do Trondheim przed 30 laty w misji katolickiej i nie może zrozumieć, że jej wiara stanowi śmieszniejszą mniejszość (95 proc. Norwegów — to ewangelicy), że Norwedzy nie nazbyt kochają innowierców.

Po trosze cieszę się z tego, choć to uczucie egoistyczne, że katedra jest ewangelicka, bo jej surowe ściany z szarego kamienia, niczym nie ozdobione, bez złoceń i makatek, bez obrazów i świecidełek tym głębsze czynią wrażenie, tym cudowniej oceniają piękno jednego z najwspanialszych obiektów normandzkiego gotyku.

I z tym uczuciem estetycznego doświadczenia, z radością, że dana mi była konfrontacja z historią, którą podbudowała wyobraźnia jednej z największych współczesnych pisarek świata, z głową pełną słońca trontjemskiego i mrocznych wzruszeń przeszłości opuszczam najdalej położony na północ fiord, który objęła moja wędrówka. Wcale nie cichy, ale na pewno daleki.



Miasto Merok w fiordzie Geiranger.

Fot. K. ŚWIERCZEWSKA

Sogne. Jest w nim tak, jakby pogoda zespoliła się z ponurością skalistych brzegów: zinnno, pusto, szaro. Coś z atmosfery haid śląskich, żadnej prawie roślinności, szeroko rozlane morze, setki wysepek, rzadko rozmieszczone osady, w jednej z nich spiżowy posąg dzielnego Wikinga, góruje nad małymi domkami, gdzie niedaleko spętany dwoma gołymi szczytami majączy lodowiec — niedostępny, płaski, okrutny. Na rozsypanych po fiordzie wysepkach — latarnie morską, gdzieś niedaleko spętany dwoma gołymi szczytami majączy lodowiec — niedostępny, płaski, okrutny. Na rozsypanych po fiordzie wysepkach — latarnie morską, gdzieś niedaleko spętany dwoma gołymi szczytami majączy lodowiec — niedostępny, płaski, okrutny.

Toteż kiedy mijamy po Sogne-Fiord Bergen — drugie co do wielkości miasto Norwegii, które wraz z Trondheim pełniło w dawnych wiekach rolę stolicy i rozciąga się przed nami jego urodziwa panorama — kontrasty pałacu i życia mieszkańców Norwegii może najślisnie dają znać o sobie i rozumie się wtedy najmniejszy przyrost naturalny

o Trondheim tyle, że wyobraźnia śmiało dopowie mu resztę.

Stolica prowincji Troendelag, założona już w X wieku przez Olafa Trygvasona — młodego króla Wikingów, była od początku miejscem koronacji królów norweskich; miejscem, skąd rozchodziło się chrześcijaństwo, miejscem, gdzie toczyły się namiętne spory o władzę królewską i postąpienie boskie, gdzie formowała się kultura narodowa i promieniowała stąd na inne ośrodki.

Dzisiejsze Trondheim niewiele zachowało pomników tej kultury z czasów, gdy nosiło jeszcze nazwę Nidaros, ale nie da się zaprzeczyć, że zachowało najpiękniejszy z nich — słynną Katedrę Nidaros, o której kraja legendy i którą Norwedzy traktują jeszcze i teraz jako świętość narodową.

Jedną z najpiękniejszych legend, inspirowaną postacią i wyborem miejsca nad katedrą, opowiada o dziejach króla Olafa, jego męstwie i śmierci pod Stiklestad, skąd w tajemnicy wielkiej zabrali jego ciało

HENRYK KAWIORSKI

ZŁODZIEJ

Na bramie pierwszej, tak zwanej „główniej”, dzielącej — a może łączącej kombinat hutniczy z miastem, zmienili się dowódcy warty. Dawny, czterdziestoletni, dobronosny i tegi okularnik objął nową posadę w wojsku i zawdziął mundur starszego sierżanta. Piątego września wieczorem odbyła się w koszarach zakładowych odprawa. Kondrat, nowy dowódca wypowiedział kilka beznamiennych zdań głosem zdyszczanym, przypominającym początki astmy. Nie unosił przy tym powiek. Krótkie, rzadkie i białawe rzęsy nadawały jego twarzy grymas uśmiechu, pomieszanego z ironią, jakby mówił, pokpiwał sobie jednocześnie w duchu. Dowódca jednak nie uśmiechał się. Dwudziestu sześciu podwładnych strażników już po kilku słowach słuchało go z natężoną uwagą. Następnego dnia rano zjawili się w myśl rozkazu ubrani w białe koszule, świeżo odprasowane spodnie i jednostajnie ciemnogrnatowe krawaty.

— O — powiedział kapitan, komendant straży przemysłowej huty. — Dziękuję — odrzekł Kondrat, pochylony głowę.

Dokładnie zrewidowano tego przedpołudnia wszystkich bez wyjątku wychodzących z trzeciej zmiany, wszystkie wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Ponieważ hutę dzieliła, a może łączyła z miastem półtorakilometrowej długości ulica, wodłaca środkiem sosnowego lasu, więc i tego dnia, spóźniło się do pracy paru robotników. Kondrat odebrał im osobliwie przepustki, nazwińska zaś, funkcje, symbole wydziałów i numery kontrolne polecił wpisać do księgi meldunków.

Józef Socha pracował wewnątrz kombinatu przy kopaniu fundamentów pod obrzynką, nowo zaplanowa-

na halę odlewni staliwa. O godzinie jedenastej odezwały się starym zwyczajem głośniki zakładowego radiowęzła, podające aktualne audycje, komunikaty i muzykę — znak rozpoczęcia dwudziestominutowej przerwy śniadaniowej. Socha nie miał chleba z kiebasą lub salcesonem, jak pozostali kopacze, ani trzech złotych na kupno zupy w miejscowej stołówce, toteż obtarł zawałane ziemią dłonie o równie zawałany i przepalony kombinezon, potem usiadł na przymie worków z cementem, którym po rozrobieniu z piachem zalewali świeżo wydrążony dół.

Nad jego głową wznosiła się stalowa konstrukcja, przypominająca do złudzenia stonogę o cienkich, wysmukłych kończynach. Bowiem gdy jeden z Józefem Sochą kopali fundamenty, inni ciągnęli tymczasem rusztowania i siatkę krzyżowych umocnień, prowadzili wodę i elektryczność, układali kolejowe suwnicowe szyny, wpuszczali w ziemię przesła, filary oraz betonowe odbiorniki na płynny żużel upuszczany z pieców. Montowali wydział w pośpiechu, by możliwie w bliskim czasie przysporzyć zysku państwu i przedsiębiorstwu, sobie zaś — działając na akord — wysokich pensji. Wydział ten należał do najcięższych w hucie a zarazem do najbardziej atrakcyjnych. Ponad siedzącymi przystanął dźwięk. Jego operator zażywał właśnie chłodu w cieniu bladej i zakurzonej sosny. Transporter sterował niczym jednooką, filuterny bocian, przyglądający się pobłażliwie utrudzonemu kopaczom.

— Jeszcze miesiąc przy tych wykopach — powiedział Socha do przyjaciela.

Jan Grygiel

Pamflet na rówieśników

„Podniosę się — myślę — i wyjdę stąd. Dopóki jeszcze potrafię. Jeżeli napiszę tę powieść, dam jej tytuł: „Alibi”. Alibi dla takich, którzy szukają go dla siebie przez cały swój czas... A jeżeli jej nie napiszę, zawsze będę mógł powiedzieć — miałem talent, ale wódka mnie skończyła — albo — nie zostałem pisarzem, gdyż nie miałem odpowiednich warunków do pracy... Nie. Podniosę się i wyjdę stąd. Wyjadę. Dopóki istnieje jeszcze szansa, że będę mógł bez obrzydzenia spojrzeć sobie w twarz...”



Ten (przynajmniej nieco spreparowany) cytát z nowej książki Bogdana Loebła stanowi klucz interpretacyjny do niej. Pozornie bowiem wydawać by się mogło, iż to duże opowiadanie, czy też, jak się to modnie nazywa — mikropowieść jest pamfletem skierowanym przeciwko niełatwemu okresowi biografii autora „Katarakta” przynosi obraz osobliwej bohemy artystycznej, jakże dalekiej od beztronski i liryzmu cyganerii u Murgera czy dowcipu i naturalności Szymona Chruszcza i przyjaciół u Makuszyńskiego. U Loebła jest to raczej posępny lumpenproletariat złożony z młodych twórców — bez nadziei, radości tworzenia i poczucia niezależności dawnych cyganów-artystów. Ci młodzi ludzie, autorzy kilku wierszy drukowanych w prowincjonalnej gazecie, paru opowiadań czytanych na spotkaniach autorskich, owi wiecznie „młodzi”, poklepywali pobłażliwie po ramieniu, nie mają łatwego życia. Znaj-

dują się na samym jego dnie. Nie chcą szukać pracy zarobkowej, gdyż to przeszkadzałoby ich powołaniu, talentem twórczym, pracy pisarskiej. Twórczość również nie przynosi im dochodów, gdyż wbrew mitom brak mieszkania, jedzenia i ubrania nie sprzyja tworzeniu. Nic zresztą nie wiemy o możliwościach pisarskich Chałupki, Hrabiego, Tyczki, Jurcia i Michalca — bohaterów „Katarakt”.

W tym błędnym kole legnie się lek i rozpacz zalewane strugami alkoholu w lokalach, na dworcach, w spelunkach czy na ulicy. Tu rodzą się ponure kompleksy i nienawiść do siebie i całego świata. Tu sypia się... „na podłodze czyjejś kuchni albo na betonie, pod drzwiami strychu jakiejś zacisznej klatki schodowej, albo w wagonie stojącym na bocznicu. W wagonie chłód przedświutu jest daleko mniej dokuczliwy aniżeli na 5 piętrze klatki schodowej...”.

Wbrew formie pamiętnikarskiego zwierzenia autor odcina się zdecydowanie od tego środowiska. Świadczy o tym wymownie tytuł książeczki „Katarakta”, czyli bielmo, jak również cytowany fragment o alibi — najwymowniej jednak pasja, z jaką pisarz obnaża pustkę intelektualną, snobizm i wykojenie tej grupy. Pod pozorami chłodnej beznamiętnej narracji kryje się ironia, zgryźliwość i bezlitosny osąd. Nawet cień współczucia nie obejmuje „nieudaczników” kandydatów na pisarzy. Są śmieszni i groteskowi w swych złudzeniach. A więc mamy tu do czynienia z pamfletem tym celniejszym, iż chyba na byłych współtowarzyszach podobnego rozdziału w życiu autora, a więc i na byłego samego siebie. Z pamfletem i przestroga dla wszystkich młodych, by uciekali jak najszybciej z takich miejsc w swej biografii dopóki istnieje jeszcze szansa, że będą mogli bez obrzydzenia popatrzeć sobie w twarz. A taki pamflet niełatwo jest napisać, nie każdy potrafi spojrzeć bez sentymentu na swoje wczoraj. Dlatego „Katarakta” jest książką odważną i potrzebną, zaangażowaną bez moralizatorstwa w problemy wychowawcze współczesności.

Jest to druga książka prozatorska Loebła, po zeszkorczonym tomie opowiadań „Upał” — ambitniejsza i dużo dojrzała od debiutu. Ale wiele cech wspólnych łączy te

książki. „Katarakta” jest w dalszym ciągu próbą ucieczki bohatera od siebie i swojego otoczenia. Jest próbą jego samookreślenia, jest wreszcie obrazem drugiego rozdziału jego biografii. Ponieważ pisarstwo Loebła ma charakter głęboko osobisty i bardzo autentyczny, należy sądzić, że chodzi tu o autobiografię.

W nowej książce wyraźniej jeszcze występuje charakterystyczna cecha prozy tego pisarza — sugestywność i niesłychana konkretność obrazu — wyostrenie do maksimum zarysu każdego szczegółu, prawie patologiczna precyzja wrozkowa pamięci. Mimo to, narracja jest zwarta i płynna nawet wtedy, gdy autor odtwarzając alkoholowo-głodowe wizje narratora używa dość osobliwej konstrukcji stylistycznej. Tok narracji płynie wtedy jak niekontrolowany strumień skojarzeń, wspomnień i wrażeń — zachodzą na siebie i przenikają się wzajemnie plany czasowe i przestrzenne, zacierają się granice między rzeczywistością a półsnem. Cała zresztą „Katarakta” ma osobliwy klimat gorączkowej maligny czy zmory sennej i to wynika z założenia konstrukcyjnego powieści. Akcja jej toczy się zaledwie przez jedną noc, którą chory po przepiciu Michalec spędza na strychu „Wieży”. Przed jego oczyma przewija się jakby syntetyczny, krótkometrażowy film — obraz kilkunastu niedawnych godzin od chwili wieczorku autorskiego i pijatyki w „Centralnej”. Tego rodzaju założenie i bardzo skuteczna jego realizacja świadczy o dużej świadomości pisarskiej Loebła i ambicjach poszukiwań artystycznych.

Pisałem kiedyś w recenzji z „Upału”, iż autora nie pociąga ładność, harmonia i gładkość świata. Woli brzydotę, szarytę, choropowatość rzeczy i ludzi — niepokój i niezgodę z rzeczywistością. W „Kataraktach” te cechy jego prozy potęgują się do obsesji — to książka gorzka, trudna, posępna. Brzydota ludzi i spraw ukazana także m. in. poprzez bezlitosną i sadystyczną obserwację zjawisk i stanów fizjologicznych ujawnia się czytelnikowi w wymiarze jakiegoś kosmaru. Ale jest to książka żarliwa i autentyczna, spełniająca zapowiedzi zawarte w debiucie.

O KULTURĘ DLA ŚRODOWISK MAŁOMIASTECZKOWYCH

Droga Ryszarda Moskala do zaszczytnego wyróżnienia, jakim jest niewątpliwie wytypowanie go jako jedynego przedstawiciela Lubaczowszczyzny na Kongres Kultury Polskiej, przebiegała dość skomplikowanie.

Przypadek sprawił i kilku zaprzyjaźnionych kolegów z okresu studiów, że ten mielczanin znalazł się w Lubaczowie po ukończeniu Wydziału Weterynaryjnego Lubelskiej WSR i tam rozpoczął nie tylko staż zawodowy, ale przede wszystkim dalszy ciąg swoich społecznikowskich poczynań. O Ryszardzie Moskalu mówiło się przed dwoma laty, że jest duszą nowo powstałych stowarzyszeń kulturalnych, że gdzie może i kogo może namawia do współpracy, że inspirował co ciekawsze imprezy, że ma szczególny talent do wyszukiwania młodych ludzi i wciągania ich w działalność, ożywiająca środowisko miejskie Lubaczowa. Powstałe przed przeszło rokiem Towarzystwo Przyjaciół UMCS w Lubaczowie powierzyło mu jedynym i wyłącznym kierownictwem; to samo obecnie uczynili koledzy zrzeszeni w Kole Studentów Ziemi Lubaczowskiej, noszącym charakter stowarzyszenia skupiającego w swoich szeregach wszystkich studiujących, tych po studiach i tych nawet, którzy mają zamiar studiować.

Cel takiej działalności Moskala jest jeden: ożywić miasto, skupić inteligencję, nie pozwolić jej rozproszyć się w terenie i stracić łączność z resztą. Cel ze wszelkich miar chwalebny, zasługujący na uznanie właśnie w małych ośrodkach, o którego ważności zda się pisać nawet nie trzeba.

Moskał, ukończywszy staż lekarza weterynarii na pewno długo zastanawiał się, co dalej robić, L... skończył, jak dotąd, z wyuczonym zawodem, przedkładając nań robotę sensu stricte kulturalnego. Odezwały się bowiem stare nawyki młodego człowieka, który już w czasie studiów był pierwszym sekretarzem Komitetu Uczelnianego ZMS i z tego okresu posiada najwyższe odznaczenie za działalność społeczną

wśród młodzieży — Odznakę Janka Krasickiego oraz Odznakę Tysiąclecia; który tam, w Lublinie, założył Międzyuczelniane Koło Studentów Ziemi Rzeszowskiej i dążył do utrzymania żywych kontaktów między Lublinem a naszym województwem.

Minęło od tamtej pory już parę lat; Moskał dalej nie rezygnuje ze swoich namiećności; jak twierdzą wtajemniczeni — jest członkiem i działaczem co najmniej 8 towarzystw ziemi lubaczowskiej i woj. rzeszowskiej.

Kiedy ma na to czas? — Pracuje od godz. 7 do 20 wieczorem, bo, niestety, o godz. 20 zamykają biuro; nie ma „obciążeń” rodzinnych, dotąd jest kawalerem, więc właściwie co innego ma robić? Wydaje mu się ten status quo na tyle naturalny, że nie śmiem tu czynić żadnej uwagi...

Wyjazd na Kongres Kultury Polskiej traktuje bardzo poważnie; ośmieliła go nieco fakt, że jest chyba najmłodszym stażem powiatowym kierownikiem Wydziału Kultury i po prostu twierdzi:

Jadę się uczyć! Naturalnie stwierdzenie to zawiera jego wyobrażenia o Kongresie, iż będzie on nie tylko manifestacją dotychczasowego dorobku kultury narodowej, ale przyniesie przede wszystkim wytyczne do dalszej pracy dla działaczy kulturalno-oświatowych, zwłaszcza tych młodych wiekiem i doświadczeniem.

Czego spodziewa się ponadto po Kongresie?

— Ze w jakiś sposób zapali zielone światło dla środowisk małomiasteczkowych, zapali iskrę zaangażowania społecznego u młodej inteligencji po studiach, wciągnie ją do pracy, przyniesie pełniejsze rozpoznanie potrzeb kulturalnych oraz (tu już ciche życzenie kierownika Wydziału Kultury) stworzy taryfę ulgową w sensie dosłownym dla małych ośrodków, korzystających z usług zawodowych instytucji kulturalnych, która do tej pory jest zbyt wygórowana; po prostu za droga dla powiatu.

K. S.

Skofczyliśmy fundamenty i pójdziemy dalej, nie wiadomo właściwie dokąd.

— Mnie to jest serdecznie obojętne. Gdzie indziej zapląca mi tak samo. Niech tylko sił wystarczy, roboty nie brakuje. Natomiast chciał Socha podnieść się ciężko, wspierając dlonie na kolanach i odszedł na skraj chodnika. Czubił się i odgarnął piasek. Schylił się i wyciągnął spod niego metalowy przedmiot.

— Sruba — powiedział wyjaśniająco. Ona tu leży, marnuje się i rdzewieje. W najlepszym razie rzuciliby ją na złom. A mnie będzie potrzebna, niedługo myślę przenieść się na wieś, do swoich stron i zacząć stawiać dom. Jest tam trochę pola, tylko domu brakuje. A wiadomo — gospodarz bez własnego domu, to nie prawdziwy gospodarz.

Odpiął guziki od spodni i sięgając ręką głęboko umieścił w rozporoku między nogami znalezione srubę. Nie wiedział przecież, bo nie mógł wiedzieć, iż wielkodusznego grubasa zastąpił na bramie głównej służbisty mantyka.

— Ciekaw jestem — rzekł do przyjaciela — kto miał zapłacić za moją naukę, kiedy byłem młody i potrafiłbym się uczyć. Ojciec? Grosza nie miał. A ja dzieciom każę się uczyć, placę internat, kiedy trzeba; kupuję książki i stawiam dom, żeby pamiętały ojca, który skończył trzy zimy parafialnego uniwersytetu i na stare lata wynosi z huty znalezione w piachu, nikomu niepotrzebne śruby. Wezmę pożyczkę od państwa, znajdę tanie kamień, drzewo odkupię z rozbieranego baru i nie będzie trudno. Syn zostanie jak raz technikiem. On też pomoże. Damy sobie radę.

— Nie lepiej to przeżyć te twoje oszczędzane złotówki, żeby przybyło zdrowia, żeby nie zmarnować zawczasu sił? Myślałeś nad tym? Tyle tego, co użyjesz.

— Myślałem nad tym mało sto, mało tysiąc razy. Patrzyłem w wojnę, jak strzelali mojego ojca, jak gwałcili moją siostrę, jak rzucili zapalną do stołowy, pełnej pożywczego zboża. Widziałem to z okna dzwonnicy, gdzie się schowałem. Dlatego nie wolno mi dzisiaj położyć się na wznak i gapić w niebo. Jeżeli sami chcemy żyć i mieć własnego ojca, własną siostrę i własny dom, musimy wypełnić do samego końca, sumiennie i rzetelnie obowiązki wobec ludzi. Ludzie pomogą w zamian. Będę harował dopóki będę zdolny. Nie wytnę i nie zatrzymam się w połowie.

— Kopyć dół — uzupełnił przyjaciel.

— Kopyć fundamenty pod nowy wydział, w którym znajdzie robotę i pensję duża liczba tych, którzy być może, nie widzieli zła ostatniej wojny i nie zamarli poniżenia.

Nad Sochą, jak dobry ojciec nad synem stał dźwig, podobny do bociana i patrzył w dół przymrużonym okiem. Hak zwiisał mu na kształt



Rys. J. SIENKIEWICZ

potężnego, zardzewiałego dzioba. Muzyka w głośnikach umilkła. Podnieśli się z worków z cementem i plując w zabrudzone dłonie ujęli łopaty.

Za dziesięć trzecia zjawił się u Józefa zmiennik. Wykopy fundamentów i równoczesny montaż hali prowadzili dzień i noc bez przerwy. Tego dnia warta bramy głównej przeprowadziła nader szczegółową rewizję wychodzących z pierwszej zmiany, wśród których znajdował się Józef Socha. Zwinne palce obmacały plecy, piersi i pachy starego kopacza. Ześliznęły się na nogawki spodni i utknęły między udami, napotkawszy zamaskowany, obfity ładunek.

— Stało się — pomyślał Józef. Nie protestował, kiedy Kondrat, nowy dowódca warty zabrał go do koszar i postawił twarz w twarz z komendantem. Kapitan rozmawiał akurat przez telefon. Pałł papierosa. Wzrok Sochy czeplił się tego papierosa, jak deski ratunku.

— Słucham — rzekł wreszcie komendant, oglądając przedłożone mu dowody rzeczowe, znalezione przy oskarżonym podczas dokładnej rewizji już w dyżurce straży na bramie głównej. Było tam kilka różnej wielkości śrub i muter, a także przepocona chusteczka z zawiniętym plikiem stu i pięćdziesiąt złotych banknotów.

— Panie majorze — zaczął Socha.

— Obywatelu kapitanie — odpowiedział Kondrat.

Komendant uniół lekko brwi. Nowy dowódca pochylił ze zrozumieniem czoło.

— Słucham — powtórzył komendant.

— Pracuję w hucie od czterech lat, panie majorze. Od samej prawie wojny. Hutę to tak, jak własny dom, panie majorze.

— Streszczajcie się, proszę.

— Odkładałem co miesiąc sto, albo sto dwadzieścia złotych, bo chcę przenieść się na wieś i postawić dla dzieci mieszkanie. Te pieniądze zarobiłem uczciwie, panie majorze. No szę je zawsze przy sobie. Boję się o nie.

— Ile tego jest?

— Piętnaście tysięcy sześćset dwadzieścia wszystkich.

— A śruby i mutry? O tym mówcie. Perfidia i premedytacja — odezwał się Kondrat.

— Nie wstyd wam? Z waszą omal siwą głową? — rzekł komendant.

— Nie ukradłem, panie majorze. Leżały przysypane ziemią i piachem, odgrzebałem je i wyczyściłem. Zgnilyby inaczej.

— Nie wasza głowa, co by było gdyby.

— Regulamin jest jednakowy dla wszystkich — dodał Kondrat.

— Rozumiem — przerwał komendant. A więc?

— Panie majorze!

— Ile zarabiacie?

— Tysiąc trzysta złotych. Od nas na zmianę wyciągają dwa i pół tysiąca albo więcej, to zależy, bo robimy na akord. Ale ja nie mam już tego zdrowia.

— Ponawiam prośbę — rzekł sucho Kondrat.

Socha powiódł głową po bluzie kombinezonu i zaczął dopinać guziki pod szyją, chociaż na dworze świeciło gorące słońce, od którego nagrzał się blaszany dach koszar straży. W pokoju panowała nawet duchota. Kapitan ponownie przeczytał raport.

— Pracując w hucie bralście dodatkowo prócz normalnego zarobku, piętnaście procent premii, czyli mówiąc prościej około siedmiuset złotych na kwartał.

— Chcę stawić dom dla swoich dzieci, panie majorze. Odkładam co miesiąc. Pracuję w hucie prawie od wojny.

— Złodziej — rzekł Kondrat. Popelniliście przestępstwo.

Komendant zastukał długopisem w pulpit biurka wciąż przeglądając raport.

— Akceptuję — oznajmił. Zostanie wam odebrane te siedemset złotych.

Józef Socha rozpiął wolnym ruchem guziki od bluzy kombinezonu.

Komendant wznosił oczy znad papieru. Prześliznął się nimi po osobie Kondrata. Nowy dowódca warty bramy głównej przyjął pod ciężarem tego wzroku zasadniczą postawę. Uklonił się zwierzchnikowi z szacunkiem.

Na ekranach kin

MONTGOMERY CLIFT

Zmarł kilka tygodni temu. Krótkie wiadomości prawne o tym fakcie przeszły u nas bez echa, gdyż Montgomery Clift nie był u nas postacią szeroko znaną. Widzieliśmy go w niewielu filmach, a i w tych pozostawał na dalszym planie w cieniu swych partnerów, takich jak Marlon Brando czy Clark Gable. Z pewnością wielu miłośników kina niezbyt kojarzy sobie nawet jego nazwisko z ogladaną na ekranie postacią.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych Montgomery Clift wchodził do

sowanych Roslyn i Gage granych przez Marilyn Monroe i Clarka Gable'a. Clift jest w „Skłóconych z życiem” godnym równorzdnym partnerem tej wielkiej pary aktorów.

Wkrótce zobaczymy go jeszcze dwukrotnie w naszych kinach w filmie Vittorio de Sici „Stazione Termini” oraz „Doktorze Freudzie” Johna Hustona. W pierwszym gra rolę nieszczęśliwie zakochanego w przebywającej we Włoszech Amerykance rzymskiego naukowca Giordano Doria, w drugim — rolę ty-



grona wybitnych aktorów tego kraju, ceniony był nie tylko za talent, za piękne kreacje na scenie i ekranie, ale także za ambicje artystyczne, nieuleganie tendencjom sztuki komercyjnej i szablonowym wzorom Hollywoodu.

Urodzony w 1920 roku w Omeche, już w wieku 11 lat wystąpił na scenie, a od 14 roku życia robił to profesjonalnie, ucząc się jednocześnie w szkole aktorskiej. W teatrze wyrobił sobie dobrą markę, jest lubiany i sam lubi pracę na scenie. Dlatego też jego debiut filmowy wypadł dość późno, już po II wojnie światowej. Kreacja w filmie Howarda Hawksa „Red River” zyskuje mu dużą popularność i odąd producenci nie przestają zarzucać go ofertami, z których bardzo niewiele doczeka się jednak realizacji. Clift przebiera w rolach, próbuje tylko te, które zawierają jakiś głębszy ładunek psychologiczny, wybiera sobie postacie bohaterów wrażliwych, skomplikowanych, a nawet tragicznych. W życiu sam zresztą odbiega od hollywoodzkiej norm. Unika wystawnych przyjęć, blichtru wielkiego świata i choć cieszy się ogólną sympatią, nie bierze udziału w oszalałym życiu towarzyskim gwiazd filmowych.

Po „Red River” (Czerwona rzeka) występuje w „A Place in the Sun” (Miejsce pod słońcem), „From Here to Eternity”. (Stąd do wieczności), „The Search” (Poszukiwanie), „Stazione Termini” (Stacja Termini), „Wild River” (Dzika rzeka), „Suddenly Last Summer” (Nagle ostatniego lata) i innych. Kręci niezbyt często, przeciętnie jeden film w roku, nie zrywając jednocześnie kontaktu ze sceną. Właściwa mu subtelność i wrażliwość w budowaniu postaci pełnych wewnętrznych konfliktów i rozterek sprawia, że każka nowa rola jest sukcesem.

W Polsce widzieliśmy go w niewielu filmach, ale uważamu widzowi pozostał w pamięci jako żołnierz Ackerman z filmu Dmytryka „Młode lwy” i jako Perce w „Skłóconych z życiem” Johna Hustona. W „Młodych lwach”, filmie, który wyraźnie odbiega od powieści o kierunku „lagodzenia” okropności popełnionych przez hitlerowców w czasie ostatniej wojny i „upozytyniania” ludzi w mundurach Wehrmachtu Montgomery Clift stwarza postać będącą chyba najbardziej wrażliwą księżką Shawa. I choć Dmytryk w odróżnieniu od Shawa kończy wątek tej postaci — Ackermana — happy endem, to jednak dzięki aktorowi jest to postać tragiczna, miazdżona przez bezlitosny mechanizm wojny.

A Perce? Niespokojny, szalony kowalaj usiłujący znaleźć swoje miejsce w życiu, przywiązujący się do pary równie jak on nieprzysto-

wałową: słynnego austriackiego uczonego, twórcę psychoanalizy — Zygmunta Freuda. Te dwie przekonujące kreacje pozwolą nam bliżej poznać się z twórczym dorobkiem tego wybitnego, tak przedwcześnie zmarłego (w chwili śmierci miał 46 lat) aktora.

Na zdjęciu: Montgomery Clift (jako Ackerman) i Dean Martin w filmie wg. książki J. Shawa „Młode lwy”.



Ryszard Wójcik: ZJESC GO. W-wa 1966. Iskry, s. 197, cena 10 zł. Jest to debiut książkowy znanego z telewizyjnego cyklu „Bez apelacji” dziennikarza. Tematyka jak na rasowego reportera przystała, współczesna. Na całość składa się 20 utworów, pełnych humoru i zacięcia polemicznego.

Kazimierz Świątkowski: WYRÓWNANY RACHUNEK. W-wa 1966. MON, s. 310, cena 12 zł.

Zawodowy (od 1933 r.) lotnik jest autorem ośmiu książek o tematyce wojennej i lotniczej. Akcja rozgrywa się w okresie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu, a jej bohaterami są dwaj lotnicy, którzy walcząc z Niemcami zostali przez nich strąceni i wzięci do niewoli. O przygodach obozowych, ucieczce, ponownej walce z hitlerowcami i pracy w lotnictwie po wojnie mówi powieść oparta na autentycznych faktach.

Eugeniusz Pauksta: WRASTANIE, T. 1,2. W-wa 1966. PIW. Biblioteka Powszechna, s. 260+354, cena 20 zł. Dwa tomy, nakładzie, wydane powieści znanego pisarza zamieszkałego w Poznaniu. Akcja utworu rozgrywa się w pierwszych latach istnienia Polski Ludowej, a jego tłem są Ziemia Zachodnie i Północne.

Joseph Conrad: TAJFUN I INNE OPOWIADANIA. W-wa 1966. PIW, s. 311, cena 13 zł. Utwory tego Polaka piszącego po angielsku, znanego kilku pokoleniom młodzieży i dorosłych są i dziś doskonałą lekturą przyciągającą do siebie i frastrującą fabule, doskonałą charakterystykę postaci oraz specyficzny klimat życia ludzi morza.

Antoni Słonimski: JAWA I MRZONKA. W-wa 1966. PIW, s. 80, cena 12 zł. Tomik składa się z dwóch części: „Spowiedź emigranta” i „Jak to było naprawdę”. Znajdujemy tu pewne refleksje z pobytu w Anglii w czasie drugiej wojny światowej oraz z życia powojennej Warszawy.

Louis Aragon: DZWONY BAZYLEI. Przeł. W. Rogowicz. W-wa 1966. PIW, s. 345, cena 10 zł. Pierwsza powieść z cyklu „Świat rzeczywiście” znanego francuskiego poety, pisarza i eseisty. Autor ukazuje w niej przemiany dokonujące się w społeczeństwie francuskim w XX wieku i przeprowadza krytykę jego stosunków politycznych i społecznych.

Italo Svevo: ZENO COSINI. Przeł. Z. Ernstowa. W-wa 1966. PIW, s. 455, cena 12 zł. Utwór, którego akcja rozgrywa się w pierwszych latach XX wieku, pisany jest w formie autobiografii. Dużo w nim psychoanalizy oraz tła obyczajowego z życia średnich i szlachty włoskiej. Głównie



ZBIGNIEW KRYGOWSKI - PREZES ZARZĄDU OKRĘGU ZWIĄZKU POLSKICH ARTYSTÓW PLASTYKÓW W RZESZOWIE
ul. J. ŚLONIMSKIEGO

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

Autor wierszy nadesłanych z Sanoka: („Miasteczko”, „Przywidzenie w słońcu”, „Słowo” i in.). Zapomniał Pan podać swoje imię i nazwisko w liście. Prosimy również o bliższe dane o sobie.

Maria: Zgadamy się z Panią, że nie należy „domorosłym poetom”, jak to Pani nazywa utrudniać pisanie. Nie czynimy tego zresztą. Papier i pióro można nabyć wszędzie, a sposobu spędzania wolnego czasu też nikt nie kontroluje. My jedynie na ich próbie oceniamy wartość artystyczną nadesłanych nam utworów. Pani wiersze również nie uzyskały naszej pełnej aprobaty. Mimo, iż świadczą o kulturze uczuć autorki są zbyt sentymentalne i zbyt patetyczne.

Zbyt wiele w nich „brzemiennej tęsknoty”, „bezdenności oczu”, nieskończoności”, „bezsensu istnienia” itp. retoryczno-rzeczowe zwroty. Nie skorzystamy, ale nie zachęcamy do zaprzestania prób.

Zb. O. — RZESZÓW: Niestety z fraszek nie skorzystamy. Są za mało dowcipne i za mało złośliwe.

Natomiast zgadzamy się zupełnie ze zdaniem Pana, że brak w „Widnokragu” humoru, satyry, fraszek i że dla dobra czytelników winniśmy taką rubrykę prowadzić. Niestety nie rozporządzamy atrakcyjnymi i wartościowymi artystycznie utworami tego typu. Widocznie brak w Rzeszowskim ludzi o satyrycznych udołnieniach. O rubryce „Więci z za miedzy” pomyśleliśmy.

W JEDNEJ PARZE

(Ciąg dalszy ze str. 3)

ła do działania starczy dla obu. Zbyt mało jednak istnieje klubów, które wyszły poza poprawny schemat: kawa, prasa, telewizja — oczywiście gdy jest aparat, a teren objęty stacją przekąsnikową — wypożyczanie książek, odczyt, spotkania towarzyskie i okolicznościowe.

Nawet w tym wąskim kręgu działalności, gdy się bliżej przypatrzeć zbyt wiele jest usterek. Zwykle okazuje się, że rolnik nie znajduje w czytelni wszystkich fachowych wydawnictw. Również w części handlowej dział księgarski nie może pochwalić się nowościami z beletrystyki ani z zagadnień społecznych, ekonomicznych i z zakresu rolnictwa. Słaby dopływ nowości i rzadkie zmiany książek zniechęcają do zaglądania na księgarskie półki. M. in. taki renomowany spec od handlu jakim jest „Ruch”, nie potrafił dotychczas opracować zestawu wydawnictw, z których systematycznie każda rodzina na wsi mogłaby kompletować sobie podręczną biblioteczkę domową. W tym zestawie dyr. Skowroński widzi obok książek popularno-encyklopedycznych, broszury o zasadach zdrowego odżywiania, wychowaniu, higienie itp., wydawnictwa na wszystkie tematy interesujące mieszkańców nowoczesnej wsi. Zestaw taki stałby mógłby być rozszerzony o nowości.

W ub. roku robiłam rekonasans po klubach rozmieszczonych na ucieszonych trasach turystycznych naszego województwa, a szczególnie w Bieszczadach, chcąc znaleźć odpowiedź na pytanie: czy kluby służą również turystom i popularyzują folklor Rzeszowszczyzny. „Wyprawa” skończyła się całkowitym fiaskiem. Nie znalazłam ani jednego klubu, który zapraszałby chociaż na przysiółkową kawę przed godziną 16 i po południu większość była nieczynna z powodu urlopu, wyjazdu kierowniczkę, zebrania koła ZMW w dniu... poprzednim (?) itp. Sytuacje wręcz komiczne, jeżeli nie smutne...

Kluby przecież mogłyby być i chyba powinny — placówkami popularyzacji swego regionu i sztuki ludowej. Cóż za wspaniałe pole do popisu dla „Ruchu” czy WZGS, by zająć się rozwojem i skupem (naturalnie korzystając z fachowej kon-

Zdarzenia tygodnia

Zespół Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” odbył w dniu 24 września próbe generalną „Starej baśni” wg J. L. Kraszewskiego, w adaptacji scenicznej Marii Siedmigról, reżyseria Stefana Słowackiego, scenografia Jerzego Szymańskiego, oprawa muzyczna Zbigniewa Jeżewskiego. Przed premierą, która odbędzie się w dniu 10 bm. w sali Teatru im. W. Sienkiewicza „Stara baśń” wystawiono o kilku miejscowościach województwa

23 bm. w sali WDK odbył się koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, którym dyrygował Czesław Płaczek, dyrygent Filharmonii Śląskiej z Katowic. Katarzyna Groblewska, sopran Opery Poznańskiej i Irena Bazan (skrzypce) oraz orkiestra wykonały arie operowe i operetkowe, utwory Glucka, Mozarta, Rossiniego, de Falli, Rachmaninowa i Chaczaturjana.

W dniach od 29 września do 1 października odbyła się w rzeszowskim WDK narada, zorganizowana przez Centralną Poradnię Amatorskiego Ruchu Artystycznego dla kadry instruktorów muzycznych wojewódzkich domów kultury. Podczas zajęć omówiono zagadnienia związane z polskim folklorem muzycznym z uwzględnieniem niektórych aspektów etnograficznych w województwie rzeszowskim i opracowań muzyki ludowej dla amatorskich zespołów muzycznych.

Od 23 września w sali wystawowej WDK w Rzeszowie czynna jest ekspozycja rzeźby, znanego z długoletniej działalności twórczej plastyka amatora z Rzeszowa Franciszka Świdra.

Z okazji odbytego w ubiegłą niedzielę sejmiku działaczy kultury w Przeworsku w Klubie 20-lecia zorganizowano wystawę pt. „Przeworsk w Tysiącletcu”. Ekspozycja zawierająca wiele cennych dokumentów, dotyczących dziejów Przeworska i okolic, została przygotowana przez Józefa Benbenka, kierownika Muzeum w Przeworsku.

W nowo otwartym Młodzieżowym Domu Kultury Tarnobrzega eksponowana jest wystawa prac 6 artystów plastyków (C. Kotowicz, Z. Ostrowski, R. Niemcewicz, P. Pisarek, H. Majewska, M. Cichorzewska — Drabik, I. Wojnicka — Marklewska) — pionu literatury, zorganizowanego w lipcu br. przez WKZZ w Rzeszowie.

sultacji artystów plastyków) pamiętek produkowanych w krótkich seriach przez twórców ludowych:

W części handlowej klubów zazwyczaj nie ma również widowków ukazujących piękno naszego województwa, poszczególnych miast, zabytków i wspomnianej już sztuki ludowej, pomników kultury i przyrody. I pomyśleć, że PUPiK „Ruch” ma własne wytwórnie pocztówek i widowków!

Utario się już takie powiedzonko, że u nas wszystko można załatwić, tylko trzeba wiedzieć gdzie i jak. Np. większość Polaków przyzwyczaiła się kupować pocztówki w kioskach. Nic błędniejszego! Najładniejsze i najciekawsze nabywa się w księgarniach „Domu Książki”. Spróbujcie, a okaże się, że we wspomnianym powiedzonku jest wiele prawdy.

Dobry żart — tyfna wart, ale projekt popularyzacji szczególnie projekt kluby wiejskie regionalnego pamiętkarstwa wydaje mi się godny jak najszybszego przedyskutowania przez właścicieli klubów na odpowiednim szczeblu i szybkiej realizacji. Gabyoty czy półki ze sztuką ludową spełniać mogą szerszą rolę m. in. popularyzacji folkloru wśród samych mieszkańców wsi, szczególnie młodego pokolenia, mogłyby być pięknym i oryginalnym elementem dekoracyjnym klubowych wnętrz, nie mówiąc już o zwiększonych o-brotach handlowych, które nie są bez znaczenia dla kierownika (kierowniczkę) placówki. Natomiast walkę „z jeleniem” mogłyby kluby podjąć przez zmienne wystawki chociażby reprodukcji malarstwa światowego.

których zainteresowany mógłby kupić upatrzoną obraz. Ekspozycje mogą dać też asumpt do cyklicznych dyskusji o sztuce.

Pomyśły proste, ale jakże pięknie i twórczo wiązać podstawowe zadania klubów na wsi, mniejszych ośrodkach miejskich i stacjach turystycznych — krzewienia kultury, popularyzacji oświaty, miejsca odpoczynku z prozaicznym handlem. Kto z obu władców klubów PUPiK „Ruch” i „Samopomoc Chłopska” podejmie się realizacji rzuconych projektów?

MARIA C. GUZIOŁEK